

Krystyna Jakowska*

Krótkie wspomnienie o Profesorze

DOI: <http://dx.doi.org/10.12775/LC.2016.057>

Chcę tu napisać o Arturze Hutnikiewiczu jako o nauczycielu. Jeżeli ktoś bowiem nadał kierunek całemu mojemu życiu, to był nim właśnie ten uniwersytecki polonista w swym nauczycielskim wcieleniu.

Chciałabym na początek wspomnieć o sile jego osobowości, która podbijała słuchaczy: na naszym roku dziewczyny się w nim zakochiwały, chłopcy starali się naśladować styl bycia. Po to wspomnieć, by tę okoliczność sprowadzić do właściwej miary. Oczywiście, uległam zbiorowej fascynacji, ale nie wystarczyłaby ona, żeby zostać na tej przenudnej polonistyce, na której znalazłam się z przypadku – tylko, żeby jakoś przetrwać rok dzielący mnie od wymarzonych studiów na medycynie. A dlaczego polonistyka? Bo komuś, kto lubi czytać, na ten kierunek dostać się najłatwiej.

Powodem właściwym, dla którego zarzuciłam medyczne marzenia, były zajęcia z poetyki. Prowadzone przez Profesora – ówczesnego asystenta – Hutnikiewicza, zwanego na naszym roku Hutnikiem, zdołały mi uświadomić, że jest, istnieje, da się stosować, instrumentarium, dzięki któremu można o tekście mówić prawie precyzyjnie, właściwie go zobaczyć i sensownie go oceniać.

Szkoła uczyła mnie czegoś wręcz przeciwnego, stąd obrzydzenie dla szkolnego „polskiego”. I rezultat, że na uniwersytecie jak objawienia słuchałam wykładu z poetyki i namiętnie brałam udział w ćwiczeniach.

Prowadzone były w sposób, który uznałam za idealny i który – naśladując – stosowałam do końca życia, a przynajmniej do czasu, kiedy miałam już tylko seminaRIA magisterskie czy doktorskie. Choć jeszcze i wówczas zdarzył się szczęśny rok, kiedy prowadziłam poetykę dla przeszło setki studentów.

Nie wiem, jak teraz na studiach traktuje się analityczny język stworzony w antyku, używany i doskonalony przez wieki, stosowany przez strukturalistów. Boję się, że jako nie-modny został całkowicie zarzucony. Myślę jednak, że dążenie do precyzji pozostaje ponad

* Historyk literatury, emerytowana profesor Uniwersytetu w Białymstoku. W latach 1961-1998 była pracownikiem naukowym w Zakładzie Literatury Młodej Polski i Dwudziestolecia Międzywojennego, w Instytucie Literatury Polskiej UMK. E-mail: krystyna.jakowska@op.pl.

modą, a jak dotąd nie wymyślono nic lepszego w tej dziedzinie. Może więc instrumentarium analityczne w programach uniwersyteckich nie dało się całkiem zamordować?



Egzamin wstępny na UMK. Artur Hutnikiewicz – piąty od lewej w głębi,
fot. Archiwum UMK

Z taką nadzieją chcę parę słów napisać o metodzie, którą stworzyli? wymyślił? przyjął? w nauczaniu poetyki mój mistrz, zanim jeszcze zapanował strukturalizm.

Były to zajęcia integrujące teorię literatury, poetykę i analizę literacką.

Poprzedzone były przydzieleniem każdemu ze studentów utworu do analizy. Dostałam bodajże jakieś okropne opowiadanie Grubińskiego. Zadaniem było pisemne dokonanie analizy i oceny dziełka na koniec roku.

Ponadto Profesor dał nam opowiadanie, które mieliśmy przez cały czas trwania zajęć analizować wspólnie. W naszej grupie był to *Michałko* Prusa. Dokonywane wspólnie analizy kolejnych aspektów *Michałka* oświetlały teksty tych opowiadań, które mieliśmy analizować sami.

A oto przebieg zajęć.

Na początku podczas kilku posiedzeń Profesor barwnie objaśniał podstawowe prawdy ogólne o dziele literackim. Te elementy teorii już od początku traktowane były jako przedmiot dyskusji. Na końcu każdego wykładu następowała część zagospodarowywana przez pytania studentów i ewentualną ogólną rozmowę – część podsumowywaną przez prowadzącego. Od początku student dowiadywał się, że zapytywanie, prośby o powtórzenie czy o wyjaśnienie są najlepiej widziane – a także zgłaszanie wątpliwości i swojego punktu widzenia. Od początku byliśmy aktywnymi współtwórcami tych wykłado-ćwiczeń, które obecnie nazwać by należało warsztatami.

Później nastąpił czas pokazywania kolejnych aspektów kompozycji i języka dzieła. Działo się to zawsze w ustalonym porządku: na zajęciach najpierw ktoś wybrany na chybił trafił analizował naszego *Michałka* w zadanym uprzednio aspekcie jego formy i następowała dyskusja – do niej wszyscy byliśmy przygotowani, bo każdy taką analizę zrobił dla siebie. Dyskusja mogła być i bywała bardzo krytyczna, nigdy jednak nie odnosiła się *ad personam* – zawsze miała być merytoryczna. Niekiedy Profesor powoływał sekretarza, który tę dyskusję notował. Potem następowała część wykładowa: Profesor wprowadzał nową kategorię, wszyscy zaś notowali pilnie, bo była to podstawa do dalszej własnej pracy analitycznej. Oczywiście też pytali o rzeczy niejasne.

Analiza zawsze musiała do czegoś prowadzić: jeśli nie wprost do oceny dziełka w wybranym aspekcie, to przynajmniej do rozpoznania stwarzanego przez daną formę znaczenia. Wiadomo było, że uczymy się narzędzi interpretacji.

Pod koniec roku wszyscy oddawali swoje prace interpretacyjno-analityczne, oceniane dość surowo. Niekiedy – po rozmowie z Profesorem – trzeba je było pisać na nowo.

Po takiej dawce wspólnego myślenia o tekście nie sposób było niczego się nie nauczyć! Z rozkoszą – i jak na studenckie możliwości – fachowo objechałam opowiadanie Grubińskiego, każdy swój sąd uzasadniając troskliwie analizą. Poczulałam się krytykiem sztuki.

Już do innego porządku wartości musi nawiązać obserwacja, że zajęcia z Profesorem uczyły właściwych postaw.

Wobec tekstu – przede wszystkim skrupulatności. Profesor wymagał analizy tak drobiazgowej, że nas to śmieszyło. Napisaliśmy pieśń dziadowską, w której trafił się wobec niego zarzut, że „każe nam także nieszczęsne Michałki / ciąć na kawalki”.

Cięliśmy, liczyliśmy, wyciągaliśmy szczegóły, a źródłem tych utrapień było – wyrażane zresztą nieczęsto – przekonanie Profesora, że tak wobec tekstu, jak wobec autora obowiązuje nas lojalność. Znajdować ma ona wyraz w poprawnym odczytaniu znaczeń. A zatem trzeba zauważyć i zinterpretować wszystkie możliwe formy. Nie było wówczas jeszcze rozważań Henryka Markiewicza o poprawności interpretacji. Nasze ćwiczenia z poetyki je wyprzedzały i budowały w nas – niekoniecznie wyrażane – przeświadczenie, że interpretacja najlepsza to ta, która podporządkowuje sobie maksymalną ilość form.

Ćwiczenia z poetyki uczyły także odpowiedzialności w ocenianiu. Bo mieliśmy do czynienia z dziełami sztuki – a na ogół na innych zajęciach wcale o tym nie pamiętano, traktując tekst tylko jako przekaz tych czy innych treści. Na poetyce obowiązywała nas znajomość kategorii estetycznych – na tyle, żeby w naszym tekście wartość estetyczną dostrzec, opisać i ocenić jej funkcjonowanie. Ocen niepopartych niczym nikt nie odważał się ferować.

Na ćwiczeniach z poetyki uczyliśmy się też właściwych postaw wobec siebie: dyskusjantów. Często adwersarzy, gdy ścieraliśmy się w ostrych niekiedy dyskusjach nad cechami czy znaczeniami jakiejś formy. Czuliśmy się jednak przyjaciółmi, spierającymi się pod okiem kogoś nieodmiennie życzliwego. Nic nie groziło – ani ze strony „przeciwnika”, ani Profesora, który dyskusję podsumowywał. Rolę Profesora w tworzeniu takiej otwartej atmosfery doceniłam, kiedy zdarzało mi się pracować z ludźmi już jakoś poranionymi, nieufnymi, wietrzącymi w grupie jakiś atak. Tam żadna dyskusja nie wydawała się możliwa i trzeba by było szczególnej, wyjątkowej osobowości, żeby grupę scalić – i otworzyć.

Dobra to była szkoła, owa poetyka w pokoju 21 na pierwszym piętrze Collegium Maius. Cieszę się, że mogłam ją tam kontynuować, a potem choć w części przenieść na inne uniwersyteckie podwórka.